

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

MAŁY MUZYKANT.

Małe chłopie nieboże
Zabiera się do smyka,
Objąć skrzypiec nie może,
A tu w głowie muzyka,
Aż mu serce kołacze.

Ej bo dziwne to czasy,
Nuta płacze — nie płacze,
Jakieś płyną z nią gwary,
Jakieś dźwięki nieznane,
Jakby z wichrem przywiane.
Coś, jak dzwony z kościoła,
Jak fujarki od siola,
Niby szmery strumyka,
Niby szczebiot słowika.
Szumią drzewa — nie drzewa,
Każda nuta tak znana,
Bo ją cały świat śpiewa
Od wieczora do rana.

Śpiewa ptaszę w obłoku,
Gdy w lot skrzydła rozwinie,
Śpiewa woda w potoku,
Gdy ze szmerem w dal płynie.
Śpiewa pole, gdy kłosy
Wiatr ku ziemi pochyli,
Płyną z łąki odgłosy,
Gdy fujarka zakwili.
Śpiewa dzwon w kościele,
Śpiewem huczą organy,
Dzwoni nuta wesele,
Gdy zagrają te tany...

* * *

Oj, pokochaj te lasy,
Długie łąny zbożowe,
Pełne wdzięku i krasy
Kwiaty leśne, łąkowe.

Gdy ukochasz te piosnki,
Które płyną od wioski,
Wtedy, wtedy nieboże,
Bierz się śmiało do smyka,
Pan Bóg ci pomoże,
Światem pójdzie muzyka,
I popłynie pieśń twoja,
Jak ta woda ze źródła!



Pochód mrówek.

Opowiadanie naocznego świadka.

W Praia Vermella, o cztery mile od Rio de Janeiro w Brazylii, posiadałem przed kilku laty niewielki domek, który kupiłem od pewnego Portugalczyka. Dom ten był tak brudny i zapuszczony, tak pełen wszelkiego rodzaju robactwa, że dosłownie bałem się w nim zamieszkać. Chciałem więc przedewszystkiem zabrać się do gruntownego oczyszczenia wszystkich ścian i kątów lecz dobre losy zrzędziły, że za mnie oczyścił dom kto inny, i to w sposób zupełnie niespodziewany.

Pewnego poranku przechadzałem się po ogrodzie, czekając na konia, którego mi miano podać, gdy nagle spostrzegłem pędzących ku mnie trzech murzynów, poprzednio zajętych robotą w ogrodzie. Biegli oni, jak opętani, wołając:

— Mrówki! Mrówki!

Pospieszyłem do miejsca, gdzie się zatrzymali.

Zagon ziemi, który teraz miałem tuż przed sobą, podobny był do ruchomego jakiegoś placu;

była to wstęga, złożona z miliardów mrówek, które przez szparę w murze wdarły się do mego ogrodu.

Spojrzałem za mur i zobaczyłem, że czarna ta, postępująca naprzód armia, rozciągała się na piaszczystej drodze, jak daleko oko zasięgnąć mogło. Szerokość tej kolumny wynosiła przeszło stopę, a o długości zaraz usłyszycie.

Co tu robić? Armia posuwała się dosyć szybko i najwidoczniej w kierunku ku domowi.

Nie było czasu do stracenia; porwawszy tedy za miotłę, zacząłem z całych sił mrówki odmiatać. Za każdym ruchem miotły tysiące owadów odrzucałem na bok, ale robota moja takimi miała skutek, jak gdyby kto wiechciem chciał zatkać, na przykład, Niagara.

Gdy energicznym pociągnięciem miotły przerwałem kolumnę, natychmiast świeżo nadciągające mrówki zapelniały ją i puszczały się dalej tą samą drogą, którą ciągnęły przednie straż. Niedługo nabrałem przekonania, że tym sposobem nie im nie zrobię, i zawolałem na kucharza, aby kazał przynieść kocioł gorącej wody.

Rozpocząłem dzieło zagłady. Za każdym polaniem tysiące trupów odpływało na bok, i już miałem nadzieję, że armię zatrzymam albo odwrócę. Ale gdzie tam! Nadciągające mrówki szły śmiało po trupach towarzyszek, przez wodę i parę, naprzód i naprzód!... Wylałem już ostatnią kroplę wody z kotła i zacząłem myśleć, co dalej począć, gdy w tem usłyszałem, że mię ktoś woła. Był to mój sąsiad najbliższy, stary sennor Bonito, który patrzył na mnie z bramy ogrodu.

— Co robisz, sąsiedzie? — rzekł, otwierając bramę i wchodząc do ogrodu; — mordujesz najlepszych swoich przyjaciół. My to zwiemy błogosławieństwem.

— A to śliczne błogosławieństwo! niema co mówić! — zawolałem z oburzeniem. — Chcecie, żebym im dziękował za to, że zanieczyszczają mi cały dom i zjedzą wszystkie meble?

— Ależ one ani dotkną mebli: to im niepotrzebne... One szukają czego innego. Chodzi im o robaki, o pajaki i ich jaja, bo to są ulubione przysmaki czarnych mrówek. U nas dom zanieczyszczony zamieniają te pocziwe stworzenia w istne cacko. Dla tego też mrówki nazywamy błogosławieństwem...

— A! — zawolałem, zaczynając pojmywać, o co chodzi, więc te oto mrówki idą tak sobie, na ochotnika, żeby mi dom uporządkować?

— A tak! I oczyszczą go aż miło. Dziś jeszcze wieczorem, gdy wejdiesz do domu, nie znajdziesz żadnego robaka, ani pajaka.

— Ale skądże przybywają ci nieproszeni stróż domowego porządku!

— Ztamtąd — rzekł Brazylijczyk, wskazując ręką na górę Corcovado, co stała w oddale, jakby wielka czarna dzwonica.

— Co? z tej dalekiej góry?! — zawolałem zdumiony.

— Tak, tak — odrzekł. — Idą one nieprzerwaną kolumną od samej góry. Zobaczysz większe jeszcze armie mrówek, gdy tu pobędziesz lat kilka.

To wszystko tak było dla mnie nowe, iż stanąłem zdumiony, spoglądając na wierzchołek góry mrówczej Corcovado, oddalonej od nas na jakie dwie mile, i licząc w myśli, ile na to potrzeba mrówek, aby utworzyć nieprzerwany pas, długi na dwie mile, a szeroki na stopę.

— Chodź teraz i zobacz, jak się wezmą do roboty — rzekł Brazylijczyk, biorąc mię pod rękę. — Jest na co popatrzeć, zaręczam ci.

I było na co patrzeć. Murzyni, oswojeni z obyczajami mrówek, pootwierali wszystkie idrzwie i okna. W oka mgnieniu cały dom zapelniał się mrówkami; było aż czarno na podłodze, na ścianach, na suficie; wciskały się w najmniejszą szparę! Przez drzwi i okna ciągle nowe walały się zastępy, wypełniając, jakby na komendę wodza, obsadzone stanowiska.

Robaki, pajaki, karaluchy spłoszone usiłowały uciekać, nie myśląc wobec groźnego nieprzyjaciela o obronę. Ale napróżno! Za każdym z uciekinierów sunął czarny pas mrówek; posiłkowe kolumny rzucały się z przodu i boków, doganiały nieprzyjaciela, z którego po chwili ani śladu nie zostawało. Tu i owdzie wielki, a więc i śmielszy jaki chrabąszcz, oparłszy się w kącie, bohaterski stawiał opór, ale, wnet przywalony czarną masą, przemocy ulegał.

— Nie opuszczaj ani jednego kącika — mówił sennor Benito, przypatrując się mrówkom z widocznym zadowoleniem. — Patrz, patrz! — zawołał z zachwytem, — ten nowy oddział armii musiał odkryć jakąś nową zwierzynę!

Długi szereg mrówek zdobywał firanki, osłaniające łóżko, i w tejsze chwili ukazał się na nich ogromny pajak tarantula, który ciężarem swoim mógłby był zgnieść od razu co najmniej setkę swoich nieprzyjaciół. Ogrom siłacza nic nie poradził przeciw napaści tłumu; zaledwie, uciekając przed napastnikami, spuścił się na ziemię, gdy nowe na niego rzuciły się hordy, jak gromady wygłodzonych sępów, szakali i wilków. Prędzej, aniżeli się to da opowiedzieć, olbrzymie ciało pajaka rozszarpane zostało na drobne kawałki i rozniesione na wszystkie strony.

— To samo zobaczyłbyś w Paramaiko, w Sueynamie i innych miejscach — mówił Brazylijczyk, uśmiechając się z zadowoleniem. — Mają tam pewien gatunek mrówek, który zowią „Wizytatorami“, z tego powodu, że pojawiają się tylko raz na dwa lub trzy lata. Ale zato, gdy przyjdą, zrobią porządek w całej kolonii, tak jak teraz u ciebie. W Surynamie widziałem mrowiska na sześć stóp wysokie, a u dołu mające w obwodzie sto stóp i więcej. Ale ludzie są tam

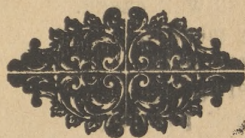
dla nich bardzo grzeczni; nikt im nie wchodzi w drogę, bo gdyby wszedł, zostałby pokąsany do krwi, pomimo grubego ubrania.

— To muszą być chyba większe od tych? — zapytałem.

— Tak, cokolwiek. Ale i tutejsze kąsają dobrze.

W tej samej chwili dano mi znać, że koń okulbaczony stoi, a że miałem ważny interes do miasta, musiałem więc z wielkim moim żalem wyrzec się widoku, który mnie niezmiernie zajmował.

Gdy wróciłem z miasta nad wieczorem, nie było już w domu ani jednej mrówki. Poszły jak przysły. Jedynym śladem ich bytności były porzrzucone tu i owdzie nogi i skrzydła owadów i twarde szpony tarantuli.



KARA ZA NIEPOSŁUSZEŃSTWO.

(Dokończenie).

Powoli szyb się opróżnił, a ojca nie było.

Piotruś za ostatnim górnikiem zaczął zdązać z powrotem. Górnik zawrócił gdzieś w boczny chodnik, światło znikło i ciemności zaległy wokoło.

Chłopak drżał ze strachu, lecz bał się krzyknąć, żeby go nie spostrzeżono i nie obito. Po omacku tedy posuwał się dalej, sądząc, że trafi do windy. Gdy już i odgłos kroków ludzkich przestał dochodzić do jego uszu, i zapanowała grobowa cisza, Piotruś przerażony począł biedz naprzód. Zwracał się i w prawo i w lewo, macając przed sobą rękami. Co chwila trafiał na ściany chropowate, o które rozbił głowę i kaleczył ręce. W ciemnościach stracił zupełnie świadomość, w którą stronę idzie.

Wtem poczuł, że grunt zniża się gwałtownie. Droga stawała się coraz ciętszą, nierówną i zawałoną stosami kamieni. Piotruś potykał się co chwila: nagle — noga jego trafiła na próżnię i biedny chłopiec spadł, krzycząc przeraźliwie, z wysokości kilku łokci. Leżał chwilę nieruchomy, skamieniały z przerażenia. Spróbował wstać, ręce i nogi miał całe, trochę był tylko potłuczony. Podniósłszy się, chciał wracać, wszędzie jednak natrafiał na ściany zbyt strome, aby się po nich na wierzch wydostać.

— Jestem żywcem pogrzebany — pomyślał, i włosy mu na głowie powstały ze strachu. — Obejrzał się za siebie i wydało mu się, że jakaś biała postać zbliża się do niego, rzucił się w bok,

krzyknął, a głos jego odbił się w korytarzach przeraźliwym echem.

Chwilami zdawało mu się, że słyszy jakieś szmery, jakby zbliżające się kroki, to znów jakby szepty lub jęki.

Gdzie oczy zwrócił, zdawało mu się, że widzi jakieś potworne postacie, jakieś błyszczące w ciemności oczy. Na myśl mu przyszły wszystkie bajki o strachach, wszystkie opowiadania o górnikach, zaginionych w kopalniach.

— To musi być opuszczony szyb — pomyślał sobie — nikt mnie tu nie znajdzie i zginę z głodu — myślał zrozpaczony.

Zakrył oczy rękami i płakał cichutko, skulony w kącie. Krzyczeć nie śmiał, bo własny jego głos przerażał go w tej pastce.

Jak długo to trwało, sam nie wiedział.

Nagle usłyszał nad sobą jakieś głosy i ujrzał nad sobą błyskające światło. Myśląc, że to strachy, drżał na całym ciecie.

Wtem wsłuchując się uważniej, rozpoznał głos ojca, wołający go po imieniu.

— Ojczu, ojczu, jestem tu — zawołał uradowany chłopczyzna. — Ojczu ratuj.

Wawra usłyszawszy głos syna, spuścił się zaraz po linie, obwiał Piotrusia przyniesionym ze sobą sznurem, poczem sam wydobył się na wierzch, a chłopca przy pomocy kolegów wyciągnął za sobą.

Na wpół omdlałego ze strachu i płaczu Piotrusia zanieść musiano do domu.

Chłopiec odchorował tę przygodę, a strach, jakiego doznał przez te parę godzin, spędzonych w podziemiach, na całe życie pozostał mu w pamięci.



Boży znak.

Było to w roku 995.

Ciemne skrzydła nocy rozpostarły się nad ziemią, a cisza ukolysała miasto. Usnął też stary Kraków, tylko u bram strażę czuwały i Wisła szemrząc, płynęła dalej.

Drogą z pod lasów szedł jakiś podróżny do miasta. Widać było po jego chodzie, że jest bardzo zmęczony. Zbliżywszy się do bramy od ulicy Grodzkiej, zapytał strażników, czyby się nie mógł zobaczyć z dowódcą tej straży, a gdy dowódca nadszedł, przybyły szepnął mu słów parę i pokazał żelazny pierścień.

Dowódca pierścień ujrzawszy, kazał natychmiast nieznanego wpuścić, a podróżny rzekł:

— Radbym, abyście mnie też zaraz kazali odprowadzić do króla.

— Chętnie bym to uczynił — odrzekł dowódzca — lecz trudno, bo nasz król miłościwy wyjechał, jak zwykle, w czasie pokoju, aby opatrzyć zamki obronne po kraju i przekonać się, czy gdzie ludowi jakiej niesprawiedliwości nie wyrządzają.

Wędrowiec usłyszawszy to, zamyslił się.

Zauważył dowódzca, że widać nieznanomy smuci się nie zastawszy króla, więc pocieszając go dodał:

— Oczekujemy powrotu króla Bolesława lada dzień, możecie więc poczekać na niego. Jeżeliście tu obcy i nie macie do kogo się udać, to zaprowadzę was do wójta, który pilnuje spraw miasta, a on wam da pomieszczenie.

— Dziękuję! pójdę i sam sobie wyszukam gdzie u ludzi kąta na noc.

— Ale — dodał dowódzca — musicie być ostrożni. Jeżeli jesteście człowiekiem naszej wiary, to nie mówcie o tem śmiało przed wszystkimi. U nas teraz jeszcze nowa wiara ze starą walcą i zgody wśród ludzi nie ma.

Po jakimś czasie, wędrowiec pożegnawszy się z dowódcą straży, poszedł ku miastu.

Idąc, natrafił na stary dom, w pół prawie rozwalony, który stał w tem miejscu, gdzie dziś jest zbudowany kościół św. Piotra i Pawła.

Drzwi były zaparte, więc podróżny zapukał. Otworzyła mu stara kobieta i Wprowadziła do izby, w której palił się ogień na ognisku z kamieni złożonem.

— O!... widzę, że już Marzanna się stroi na dzień jutrzejszy — zawołał gość, wszedłszy do izby.

On te słowa wymawiał z bólem, lecz stara niewiasta i młoda jej córka, które w izbie się znajdowały, przyjęły je jako okrzyk radości, więc serdecznie podróżnego powitały.

— Widać, że jesteście nasz — przemówiła stara kobieta — siadajcie... oto chleb i miód, jest i mięsa trochę. A z daleka.

Idę od zachodu z bardzo daleka.

(Dokończenie nastąpi).



LAMIGŁOWKI.

I.

Ułożyć w kierunku poziomym 14 wyrazów, tak, aby zapłacić nimi kropki i gwiazdki. Środkowe litery tych wyrazów, oznaczone gwiazdkami, dadzą nazwę stolicy Turcyi.

Znaczenie wyrazów;

- 1) Litera K.
- 2) Zwierzę domowe.
- 3) Zaimek osobisty liczby mnogiej.
- 4) Przysłówek czasu.
- 5) Imię męskie.
- 6) Obszar pola.
- 7) Zwierzę.
- 8) Zaimek pytający.
- 9) Głos wielu zwierząt.
- 10) Zaimek osobisty rodz. żeńsk.
- 11) Poeta polski.
- 12) Słowo trybu ozna. 3 os. 1 p. cz. ter.
- 13) Ptak śpiewający.
- 14) Mieszkanie pszczoł w liczbie mnogiej.



Rozwiązanie lamigłówek z Nr. 30.

I.

ARON.
DANIA.
ALFONS.
MARYNARZ.
MRÓWKOJAD.
INTROLIGATOR.
CYGARO.
KULANLIG.
INDYKI.
EZOP.
WILNO.
IGŁASTE.
CHART.
ZELANDYA.

Adam Mickiewicz. — Nasz drogi poeta.

II.

Ka — ra — bin,

Dobre rozwiązanie lamigłówek z nr. 29 „Anioła Słóza” nadesłał D. Wiśniewski z Jazwiska.

